

Z KOŚCI NA OŚCI, Z OŚCI NA PROCH

Przepis na życie

- szklanka uśmiechu,
- 2 łyżki umiejętności szukania pozytywów,
- łyżeczka miłości,
- 100 g zadowalania się z małych rzeczy,
- opakowanie śmiechu,
- szczypta radości z codzienności,
- przyjaciele i przyjaźń do smaku według upodobań.

Połącz wszystkie składniki ze sobą dużą łyżką, nucąc przy tym swoją ulubioną piosenkę. Mieszaj do momentu, aż zrozumiesz, że żyje się raz i warto korzystać z życia pełnymi garściami. Kiedy już to zrobisz, odłóż misę z masą i idź się nim cieszyć się, bo *ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy.*

Szkoła podstawowa

– Ma lekką niedowagę – mówił mój lekarz rodzinny – ale to minie, jeszcze rośnie.

Miałam wtedy 7 lat, uczyłam się w pierwszej klasie podstawówki. Nosiłam wysoko zaczesane kucyki, spódniczki i sweterki. Już wtedy moje oczy były podkrążone, jakby ciągle zaspane. Byłam lekko wyższa od moich koleżanek. I chudsza. Nie wyróżniałam się niczym innym. Może tylko wadą wymowy, bo „r” to dla mnie istna thagedia i phoblem. Odkąd pamiętam byłam kujonką, lubiłam się uczyć, nie miałam szczęścia do przyjaciół, ale nie przejmowałam się tym.

Gimnazjum

Najgorszy czas w moim życiu. Jednym słowem – dorastanie. Nawet sobie poradziłam. Wiedziałam, że nagle nie jestem lekko chudsza od koleżanek, ale delikatnie większa i szersza. Wstydziałam się swojego ciała. Mówiłam sobie codziennie: „To minie, za kilka lat będzie

lepiej”. Chyba pomogło, bo nie leczyłam się u terapeuty jak moja koleżanka z klasy. Chociaż podobno lepiej skończyć na lekach niż ze sobą. Trudno było mi pogodzić się, może nie z myślą coraz bliższej dorosłości, ale z ciałem, które już takie się staje. Luźne koszulki, swetry o dwa rozmiary większe, spodnie z wysokim stanem, bo te, jak piszą w magazynach dla kobiet, wyszczuplają i zakrywają wystający brzuszek – to była norma, mój codzienny outfit do szkoły. Im mniej było widać, tym lepiej. Czułam się po prostu bezpieczniej, ale nie zawsze to pomagało, moje mury obronne były zbyt niskie, żeby odeprzeć wszystkie ataki. – Spasłaś się, wiesz o tym? – powiedziała jedna z dziewczyn z mojej klasy.

Zaniemówiłam. Powiedziała to tak sobie, po prostu, bez zająknięcia podając mi piłkę na wfię. Nie wiedziałam co odpowiedzieć, czułam się jakbym dostała „z liścia”. Przemilczałam to jednocześnie dusząc w sobie gniew, smutek, ale nie wobec niej, ale wobec siebie.

Wiedziałam, że muszę coś ze sobą zrobić. Nie miałam nadwagi, ale boczki, wielki tyłek, biust jak karmiąca kobieta i twarz „jak księżyc w pełni” – tak siebie widziałam.

Dieta, regularne ćwiczenia, suplementy, witaminy – łatwo mówić, trudniej zrobić. Brakowało mi motywacji, a od upadku chronił mnie tylko strach przed śmiercią i samobójstwem.

Otaczała mnie rodzina, znajomi, ale czułam się osamotniona. Zostałam sama – ja i moje odbicie w lustrze. Kiedy pewnego dnia rozbiłam lustro została tylko pustka.

Liceum

Nowa szkoła, nowe miasto, nowi ludzie – czułam się pokonana. Szukałam wyjścia z sytuacji, ale nie było to łatwe. Podjęłam próbę walki, walki samej ze sobą. Zaczęłam liceum z wagą 67 kilogramów, skończyłam z 82 kg. Oprócz wiedzy zyskałam też dodatkowe kilogramy.

W tamtym czasie ważyłam prawie dwa razy więcej niż pół roku wcześniej. Mówią, że wygląd zewnętrzny nie jest ważny, że liczy się wewnątrz człowieka: jego charakter, dobre uczynki, kultura osobista... wmawiałam to sobie z każdą nowo otwartą paczką chipsów popijanych colą. Widziałam, że moje ciało się zmienia, ale nie miałam czasu o tym myśleć. Moja głowa była zajęta ciągłymi zadaniami, słówkami do nauki i tekstami do przeczytania. Ostatnia klasa była jednym wielkim polem bitwy z arkuszami maturalnymi. Momentami zapominałam, że muszę oddychać. Wdech i wydech. I jeszcze raz: wdech i wydech. Świsł powietrza uspokajał mnie, ale nie tak jak jedzenie. Omijałam śniadanie wychodząc do liceum, żeby zredukować kalorie, ale potem zajadałam się drożdżówkami, chrupkami. Moim bóstwem była kawa z mlekiem i 5 łyżeczkami białego cukru. Pamiętam, że uwielbiałam obserwować jak

kryształki cukru rozpuszczały się w delikatnie kremowej piance, która często zostawiała ślad nad moimi wargami. Ona i słodczyce pochowane w zakamarkach mojego pokoju to jedyne słodkie przyjemności, na które sobie mogłam pozwolić. Ja zasypiałam z podręcznikami, kiedy moje koleżanki z klasy z chłopakami. Nie było mi żal. Może tylko czasami, kiedy widziałam zakochane parki, które nie widziały świata poza sobą. Wtedy na moment moje myśli przestały dotyczyć nauki, ale chęci i wyobrażeń. Zapominałam na chwilę o szkole, chorej ambicji. Odlatywałam do skrytych marzeń, w których Adam – najprzystojniejszy chłopak w liceum patrzył na mnie z uczuciem, dotykał ramienia, głaskał po moich bujnych blond lokach i czule całował w kącik ust. Raz zostałam na tym przyłapaną, że stałam na środku korytarza i dotykałam się po ramieniu zapatrzona ślepo przed siebie. Nie było łatwo takiej dziewczynie jak ja. Wstydziłam się swojego ciała, nie używałam nawet błyszczczyku, kiedy inne znajome codziennie przychodziły do szkoły w pełnym makijażu, a moje ubrania były szare, nijakie. Z resztą jak ja. Tak się czułam. Szara myszka, która siedzi z nosem w książkach, marzy o ambitnych studiach, nie pije, nie pali, nie wie co to „smokey eyes”. Moim pocieszeniem stały się ciasteczka, które kupowałam za kieszonkowe w pobliskim markecie. Całą sumę ze stypendium rzetelnie odkładałam na studia. Tylko na to wydawałam pieniądze. Zakupy, wyjścia, spotkania? Mnie nie dotyczyły. Raz na kilka tygodni miałam odwagę przełamać swoją rutynę i wychodziłam na kawę, oczywiście z ciastem, z kuzynką. Na co dzień moim wolnym słuchaczem była mama, która wracała zmęczona po 10 godzinach pracy w zakładzie szewskim, ale zawsze znajdowała dla mnie czas. Ojciec był zajęty swoją firmą, którą prowadził w Niemczech. Nie był ojcem roku, ale zawsze pamiętał o moich urodzinach i przysyłał kosz słodczy. Jak go tu nie kochać!?

Skończyłam liceum z wyróżnieniem, też mi zaskoczenie. Po maturze zaczęłam pracę w fast foodzie. Z wyglądu przypominałam stałych klientów zajadających się tłustymi frytkami smażonymi w czarnym jak smoła oleju i posrebrzanymi solą. Już ponad połowa¹ Polaków przyznaje się, że zajada się fast foodami przynajmniej raz w miesiącu lub rzadziej, więc nie dziwiłam się, że zatrudnianie na sezon letni studenciaków i maturzystów jest na wagę złota. Dzięki pracy z ludźmi, kontakcie z nimi otworzyłam się na świat. Cuda się zdarzają. A nawet chodzą parami. Praca fizyczna zadziałała na moją tuszę jak magiczna różdżka. Widok jedzenia, które zmienia się z kostki lodu w tłustą plamę zadziałał na moją wyobraźnię, a brak czasu na ciągłe podjadanie chrupek na żołądek. Zachłysnęłam się pracą, współpracownikami,

¹ <https://noizz.pl/spoleczenstwo/jakie-uzywki-i-fast-foody-najbardziej-lubia-polacy-narodowy-test-zdrowia-polakow-2020/lD51x3b>

którzy pokazali mi jak smakuje życie, a kilogramy powoli same znikwały. Spodobało mi się to. Nie stosowałam wygórowanej diety, nie wylewałam z siebie „siódmych potów” na siłowni, ale za to czułam się jak wygrana. Kiedy moje ulubione spodnie zaczęły wymagać paska wpadłam w euforię. Jednak jak później się okazało to był dopiero początek.

Studia

Dostałam się na wymarzony kierunek studiów, w ostatnim tygodniu września opuściłam rodzinną miejscowość. Spakowałam do kilku pudeł ubrania, książki, kilka koców, poduszek. Do pociągu wzięłam ze sobą tylko jedną małą walizkę podróżną, wspomnienia z gimnazjum, liceum zostawiłam, ten bagaż doświadczeń już nie był mi potrzebny. Postanowiłam zacząć nowy rozdział w swoim życiu, który gdyby nie moja współlokatorka byłby bardzo krótki.

Studia wschodnie to kierunek, który intrygował za każdym razem, kiedy o nim opowiadałam. Po wytłumaczeniu nikt nie był zaskoczony, że największa kujonka zamierza kuć chińskie znaczki, cyrylicę i zgłębiać aspekty gospodarcze wschodnich sąsiadów. Bardziej byli zszokowani Gdańskiem, gdzie Uniwersytet Gdański był jedyną uczelnią oferującą takie połączenie. Mama z trudem zaakceptowała fakt, że od jedynej córki będzie ją dzielić ponad 500 km.

Byłam sama w obcym dla mnie mieście, które odwiedzałam w dzieciństwie z rodzicami w czasie wakacji. Na początku miałam wrażenie jakbym grała główną rolę w filmie „Zuzanna sama w Gdańsku”, ale postanowiłam robić to, w czym byłam dobra – poświęcić się nauce. Oprócz języków uczyłam się kontroli nad samą sobą i swoim apetytem. Setki razy kusilo mnie kupić moje ulubione ciasteczka czekoladowe, których chrupanie uspakajało mnie podczas czytania lektur, paluszków, które były słone jak moje łzy wylewane w samotności do poduszki, czy słodzonych napojów łaskoczących mnie swoimi bąbelkami po nosie. Zainstalowałam aplikację, do której mogłam wpisywać produkty, które zjadałam. Liczyła kalorie, węglowodany, tłuszcze, białka. Była moim wyznacznikiem, drogowskazem do upragnionej sylwetki znanej z Internetu, gazet kobiecych jak i męskich. Ufałam jej, sobie przestałam. Wściekałam się, kiedy wynik przekraczał 1500 kalorii, potem 1400, następnie 1200. Wprowadzałam do systemu każdy gram sałaty, pomidora, rzodkiewki. Dla pewności upewniałam się, że woda ma 0 kalorii.

Artykuły poświęcone odżywianiu się i żywności otworzyły mi oczy na składy produktów. Zaczęłam spędzać więcej czasu w sklepach spożywczych czytając każdą etykietkę, porównując i uzupełniając wiedzę o numerkach E. Benzoesan sodu, sorbinian potasu, glutaminian sodu, czerwień koszenilowa, nizyna – to była moja nowa mantra. Moim śniadaniem była szklanka wody, obiadem sałatka złożona z sałaty, pomidora, ogórka zielonego, papryki i mozzarelli z gotowanym jajkiem, kolacją jogurt naturalny z owocami, które przed zjedzeniem szorowałam szczoteczką do zębów, żeby usunąć wszelką chemię.

Moje nowe „hobby” pochłonęło mój czas wolny, którego nie było wiele, bo w weekendy pracowałam w kawiarni jako baristka i kelnerka. Kiedyś byłabym pierwsza w kolejności do skosztowania każdego ciasta z witryny, wtedy patrzyłam na nie ze wstrętem. Widząc je przeliczałam na moim kalkulatorze w głowie kalorie, ilości konserwantów, wzmacniaczy smaku, słodzików i sztucznych dodatków. Podając je klientom życzyłam im w myślach: „Powodzenia z cukrzycą, miażdżycą i nadciśnieniem”. Widok tych wszystkich słodkości przypominał mi o szkole, ich woń o zajadonym stresie. Czułam przyjemny zapach czekolady, który zabawiał moje nozdrza, w liceum usypiał mnie on do snu, kiedy nie umyłam twarzy z okruszków ciasteczek kakaowych. Trzęsąca się galaretka była zawsze pocieszeniem w sobotnie wieczory, kiedy razem z mamą oglądałyśmy *Mam talent*, teraz była dla mnie tylko żelatyną wieprzową.

Zmieniłam się do tego stopnia, że własna matka przestała mnie poznawać, wkrótce i ja sama miałam problem z rozpoznaniem osoby w odbiciu lustra. Przyjechałam do domu rodzinnego na okres przerwy świątecznej ze słownikami, podręcznikami i zapakowaną w pudełku śniadaniowym sałatką nicejską w plecaku.

– Kim ty jesteś? I gdzie jest moja córka? – zapytała moja mama, kiedy zobaczyła mnie na dworcu – Rany boskie Zuzia!

Nie było łatwo przez dwa tygodnie udawać, że jem wszystko, pięć posiłków dziennie i wysypiam się po minimum osiem godzin. Mama obrała sobie za cel utuczenie mnie gotując schabowe, żeberka, smażone pierogi i inne ociekające tłuszczem specjały. Jadłam, po prostu jadłam. Nie czułam tej przyjemności, co kiedyś. Wiedziałam, że muszę to zjeść, żeby mama nic nie podejrzewała. Bawiłam się widelcem, przeżuwałam powoli, kiedy mama wychodziła z jadalni wypluwałam jedzenie do przygotowanych wcześniej chusteczek, dużo opowiadałam, żeby obiad stygnął i mieć wymówkę do odejścia od stołu. Czasem udawało mi się wymiotować po dłuższym rozmyśleniu o tłuszczu i chemii w żywności. W domu zostawiłam swoje stare, wtedy o kilka rozmiarów większe, swetry i koszulki. Idealnie zakrywały moją

nową figurę. Nie chciałam jej pokazywać mamie. W łazience zawsze dwa razy sprawdzałam, czy drzwi są zamknięte na klucz, tylko na wszelki wypadek niespodziewanego wtargnięcia mamy. Święta minęły, wróciłam do Gdańska, do mojej kryjówki, gdzie przed nikim nie musiałam ukrywać odważania jedzenia co do grama, odmierzania mililitrów łyżką, a przede wszystkim niespożywania posiłków.

Zawsze po pobudce rano i przed pójściem spać robiłam 50 brzuszków. Dopiero wtedy miałam pewność, że mogę spokojnie zasnąć lub zacząć nowy dzień. Potem sprawdzałam wymiary talii i bioder, jeśli się zgadzały z poprzednim dniem lub lepiej, były mniejsze, przechodziłam do ważenia się. Największa adrenalina towarzyszyła mi właśnie wtedy. Stawałam na wadze łazienkowej jak na zapadni, której opadnięcie oznaczało śmierć. Patrzyłam przed siebie marszcząc czoło, zaciskając zęby i prosząc, sama nie wiem kogo, żeby nie pokazała więcej o 100 g. Spojrzenie na wynik wagi było dla mnie wyczynem wymagającym odwagi jak dla himalaisty wyjście na K2 bez tlenu. Kiedy waga została zaakceptowana ubierałam się w swoje luźne ubrania i nalewałam sobie szklankę wody, która była moim śniadaniem. Dalsza część dnia wyglądała schematycznie: uczelnia, zajęcia, zakupy, niskokaloryczny obiad, brzuszki i sen. I tak codziennie.

Mróz

Wiosna. Ciepłe dni, więcej słońca, śpiew ptaków, pierwsze kwiaty kuszące swoją wonią, które pokonują barierę resztek brudnego śniegu zmieszanego z błotem. Zawsze czułam zachwyt na widok odrodzenia się przyrody. W pierwszy dzień wiosny patrzyłam ślepo przed siebie. Siedziałam na parapecie oparta o ścianę, ukryta przed światem dzięki smugom na szybie. Nie pamiętam kiedy miałam wystarczająco dużo siły, żeby je umyć. Czasami kątem oka spoglądałam na pudełko tamponów, które leżało zapakowane w oryginalną folię w szafce nocnej przy łóżku. Kupiłam je w pierwszy dzień zimy, a w pierwszy dzień wiosny liczyłam, że rozerwę folię i zaznaczę w kalendarzyku w aplikacji, że nadszedł ten dzień. Niestety, nie przyszedł od trzech miesięcy. W rogu pokoju widziałam moją szczotkę do włosów, wyglądała jak małe futrzaste zwierzątko, czyściłam ją dzień wcześniej. Wystarczyło muśnięcie moich blond, kiedyś bujnych, loków, żeby spadł deszcz włosów. Paznokcie rozdwojone, obgryzione i krótkie. Minął sezon na ubieranie rękawiczek – nie byłam z tego zadowolona, bo nie miałam jak ich ukryć. Skóra sucha, blada, wycieńczona. Stojąc na tle białej ściany byłam ledwo zauważalna. Porównywałam się do kameleona, potrafiłam zniknąć, stać się niewidzialna,

co z resztą potrafiłam doskonale od najmłodszych lat. Przestałam czuć radość, którą zastąpiło zwątpienie i ciągła irytacja moim grubym ciałem. Patrząc w lustro widziałam wielkiego, tłustego potwora. Zawsze oglądałam się w nim w bieliźnie, chwyciłam naciągniętą skórę, by poczuć zbędny tłuszcz ukryty przebiegle pod nią. Trzymałam resztkami sił swój blady papierus i z każdą sekundą nienawidziłam siebie bardziej. Straciłam ochotę na naukę, zrezygnowałam z pracy, nie odzywałam się do znajomych z uczelni, ze współlokatorką pisałam tylko wiadomości na czacie – wszystko dlatego, żeby nikt nie zobaczył mojego ociekającego tłuszczem ciała. Życie stało się moją udręką, samobójstwo oznaczałoby klęskę, z resztą nie mogłam umrzeć tak wyglądając. Moją trumnę musiałyby nieść cała drużyna piłkarska, żeby ją podnieść.

Moja współlokatorka zaczęła spotykać się z nowym chłopakiem, poznali się na plaży. Kiedyś byłabym pierwszą osobą, która chciałaby poznać szczegóły ich związku, wtedy na wiadomość, czy może wpaść do mieszkania odpisałam: „ok” – na więcej nie było mnie stać.

Później usłyszałam pukanie do moich drzwi:

– Zuza? Mogę wejść? Albo ty wyjdź do nas, jak wolisz. Chciałabym ci przedstawić Artura. Siedziałam na parapecie oniemiała. Poczułam ukłucie w żołądku, ściśnięcie, zaczęłam szybciej oddychać, serce uderzało jak tykająca bomba, która zaraz miała eksplodować. Spanikowałam. Chciałam podejść do drzwi, upewnić się, że są zamknięte, ale schodząc z mojego azylu poślizgnęłam się i upadłam. Do pokoju wpadła Ada krzycząc, czy nic mi nie jest. Nie zwróciłam na nią uwagi, ale na Artura. Patrzył na mnie z obrzydzeniem, pogardą. Jego szeroko otwarte oczy głośno krzyczały: „POTWÓR”. Skąd wiedział, że tak się nazywam.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam przypominając sobie o posiadaniu języka w ustach.

– Na pewno? – upewniała się Ada.

– Myślę, że i tak trzeba ją zabrać do szpitala – powiedział Artur – Spójrz jak ona wygląda.

Odsunęłam się od Ady, wstałam podpierając się łóżka, podziękowałam za troskę i wyprosiłam ich z pokoju. Wychodząc Artur odwrócił się, żeby jeszcze raz mnie zobaczyć. Drzwi zamknęły się, podeszłam przekręcić klucz. Dla pewności dwa razy. Oparłam się plecami o ścianę i zsunęłam na podłogę. Przytulona do kolan, przypominających wtedy pałeczki do sushi, płakałam, ale w ciszy, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi.

Kto by chciał pocieszać takiego potwora?

Następnego dnia jak zwykle przesiadywałam na parapecie zapatrzona w okno. Byłam uwięziona w klatce, którą sama sobie zbudowałam. Moje puste obserwacje zakłóciło pukanie.

Udawałam, że go nie słyszę, ale wtedy rozpoznałam ten głos:

– Zuzia, otwórz te drzwi! Błagam dziecko, muszę cię zobaczyć. Mam nadzieję, że nie jest za późno. Ada do mnie zadzwoniła, od razu przyjechałam. Zuza na litość boską!

Płakała. Mówiła te słowa z bólem, cierpieniem. Byłam dla niej strzałą, która przekuła jej serce i zraniła uczucia, zaufanie. Otworzyłam drzwi, zaraz potem znalazłam się w objęciach matki. Co wtedy czułam? Nie pamiętam, zemdlałam.

Obudziłam się w szpitalu. Mama spała na krześle obok mojego łóżka, trzymała mnie za rękę. Do drugiej była podłączona kroplówka, za której rurką szłam wzrokiem. Nie miałam sił, żeby się podnieść, ale zacisnęłam dłoń matki. Zaspana z podkrążonymi oczami ze zmęczenia przytuliła mnie, a potem wyszła szukając lekarza. Spojrzałam w okno, przez połamane żaluzje przebijały się promienie popołudniowego słońca. Czułam ich ciepło na swojej twarzy.

Patrzyłam prosto w źródło światła, zaczęłam widzieć coraz jaśniej i jaśniej, aż widziałam tylko oślepiającą biel i wtedy słońce przygasło. Spoglądałam dalej spragniona blasku dopóki nie usłyszałam zbliżających się kroków. Do pokoju weszła moja mama, a za nią szczupła kobieta ubrana schludnie w biały fartuch, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– Nazywam się dr Ewelina Wafel, pomożemy ci.

Odwilż

Tak się zaczęła akcja ratunkowa mojego życia. Musiałam od początku nauczyć się znowu jeść. Obyło się bez zachęt: „samolocik leci” czy „za mamusię, za tatusia”. Przełknięcie czegoś więcej niż łyk wody było torturą, stawanie na wadze ze świadomością, że wynik będzie wyższy cierpieniem, ale ból w oczach matki największym koszmarem. Wizyty u lekarza, ciągle odwiedziny apteki, uczestniczenie w spotkaniach terapeutycznych nie było łatwe, ale wbrew pozorom było trudniejsze dla mojej matki. Nie odstępowała mnie na krok, pilnowała każdego mojego kęsa, a nie było ich wiele. Wystarczyły pierwsze dwa tygodnie mojego leczenia, a ślepy by zauważył, że mama postarzała się o kilka lat. Poczucie winy zżerało mnie od środka, nie pozwalało o niczym innym myśleć. Zasypiając prosiłam, żeby rano się już nie obudzić. Nie mogłam patrzeć na jedzenie. Siedząc przy stole cierpiałam na widok obiadu, ale jeszcze bardziej widząc mamę przełykającą na zmianę sałatkę i ślinę powstrzymując się od płaczu.

Na jednym ze spotkań odwiedziliśmy muzeum, gdzie mieliśmy okazję poczuć smak kultury, smak bez kalorii. Szliśmy zwartą grupą dzieląc się swoimi refleksjami, komentarzami

i szukaniu odpowiedzi na wieczne pytanie: „Co autor miał na myśli?”, kiedy jedno dzieło przykuło moją uwagę. Przystanęłam i zaczęłam powtarzać w myślach: „danse macabre, danse macabre...” – pamiętałam to z lektur szkolnych. Patrząc na jeden ze szkieletów na obrazie, nie odrywając od niego wzroku, dotknęłam swojego nadgarstka. Po chwili delikatnie przesunęłam opuszki palców na łokieć, a potem ramię. Tam zacisnęłam palce. Już nie mieściło się w średnicy ich złączenia. Zapatrzona w płótno dotknęłam obojczyków, wypukłe jak zawsze, kości policzkowe dalej wyczuwalne, skóra na twarzy gładsza, usta mniej spierzchnięte. Poczułam na nich słony smak łez, które opuściły oczy jakby na zawołanie, żeby je nawilżyć. Przesunęłam dłoń niżej, na żebra. Palce przeskakiwały po nich jak po szczeblach drabiny. Mogłam je policzyć, każdą kość, poczuć każde jej zagłębienie, ubytek i tak zrobiłam. Lekko otworzyłam przy tym usta, szeptałam po kolei cyfry. W ustach miałam własne Morze Martwe, tonęłam we łzach. Skończyłam liczyć, ale nie patrzeć na obraz. Stałam jak zaczarowana, odcięta od rzeczywistości. Chyba właśnie wtedy zrozumiałam, że byłam potworem, ale straszylam w przebraniu kościotrupa. Ostatni raz spojrzałam na tańczące szkielety, obtarłam oczy chusteczką od niego i podałam mu rękę.

– Masz rację, nie ma chwili do stracenia.